



Thomas O'Donnell
analityk rynku energetycznego i wykładowca prywatnego berlińskiego uniwersytetu Hertie School of Governance

OPINIA

Niemcy nie boją się Rosji. Boją się ryzyka płynącego z Ukrainy

W USA zarówno demokraci, jak i republikańscy są zgodni przynajmniej od czasów administracji Baracka Obamy, że konieczne jest wstrzymanie głębokiej integracji handlowej i technologicznej z Chinami i Rosją oraz bezkompromisowe egzekwowanie wobec nich globalnych zasad handlu, a także izolowanie i powstrzymywanie w przypadku geopolitycznej agresji. Niemcy, których 50 proc. PKB pochodzi z handlu zagranicznego, reprezentują całkowicie odmienne stanowisko. Berlin co prawda lubi globalne zasady handlu, ale jego niezrównoważona gospodarka nie pozwala mu na zerwanie z Kremlem i Państwem Środka. Sprzeciwia się więc konfliktom handlowym i militarnemu powstrzymywaniu Chin i Rosji;

zamiast tego chce negocjacji i okazjonalnych sankcji.

Przekładając to na sferę energetyki: Berlin chce za wszelką cenę utrzymać współpracę w dziedzinie energetyki z Kremlem, a USA i ich europejscy sojusznicy chcą maksymalnej niezależności energetycznej ze względów bezpieczeństwa. Rosja z kolei chce reintegracji Ukrainy do swojej strefy wpływów i odmawia dalszego przesyłania gazu do Europy przez ten kraj.

W konsekwencji Berlin współpracuje z Rosją i nalega, aby to niemiecka

dplomacja koordynowała europejskie relacje energetyczne z Moskwą, nawet jeśli oznacza to wystawienie Kijowa do wiatru. Działania RFN w tej sferze są podporządkowane jednemu nadrzędnemu celowi: niezależnienie dostaw gazu od ryzyka potencjalnego konfliktu na Ukrainie.

Biden znalazł się zatem w bardzo trudnej sytuacji, bo dostał od Berlina jasny sygnał, że nawet gdyby nałożył więcej sankcji na NS2 lub na niemieckie firmy, to Niemcy dopilnują, by gazociąg został ukończony.

Nord Stream 2 jest doskonałym przykładem walki między amerykańskim a niemieckim podejściem do Rosji i szerszego sporu między dwiema największymi gospodarkami sojuszu transatlantyckiego nt. globalizacji



Berlin współpracuje z Rosją i nalega, aby to niemiecka dyplomacja koordynowała europejskie relacje energetyczne z Moskwą, nawet jeśli oznacza to wystawienie Kijowa do wiatru. Działania RFN w tej sferze są podporządkowane jednemu nadrzędnemu celowi: niezależnienie dostaw gazu od ryzyka potencjalnego konfliktu na Ukrainie

Berlin zezwolił na kontynuację budowy, mimo wycofania się renowowanych firm zachodnich z przedsięwzięcia. RFN po prostu wpuściłby rosyjskie statki i firmy na „plac budowy”, nawet przy większej presji sankcyjnej.

Amerykański prezydent ocenił, że walka z Berlinem i Moskwą o zatrzymanie Nord Stream 2 była przegrana, zanim wprowadził się do Białego Domu. Próbował więc wynegocjować pewne „rekompensaty” i „gwarancje” od kanclerz Angeli Merkel, aby chronić Ukrainę, Polskę, Białoruś i innych sojuszników. Ale szefowa niemieckiego rządu, jej szef dyplomacji Heiko Maas i minister gospodarki Peter Altmaier poszli jedynie na symboliczne ustępstwa.

Nie wolno liczyć na Niemców, jeśli chodzi o ewentualne sankcje wobec Rosji za kolejną agresję na Ukrainę. Dowodem na to jest rok 2014 i rosyjska inwazja. Pozwolono wówczas Niemcom i Francji kierować europejską odpowiedzią. Konsekwencje odczuwamy do dziś. Reakcja Berlina polega głównie na niekończących się, bezproduktywnych negocjacjach, które nie zmieniają status quo rosyjskiej okupacji. Początkowo USA cieszyły się, że Niemcy i Francja odgrywają wiodącą rolę w rzekomym przeciwstawianiu się rosyjskiej agresji i udzielaniu pomocy Ukrainie. Jednak to początkowo zaufanie, jak teraz widzimy, nie było uzasadnione.

Jeśli teraz Rosja odetnie dostawy przez Ukrainę lub dojdzie do kolejnej agresji zbrojnej, to prawdopodobne jest, że niemieccy przywódcy będą sprzeczać się o to, kto jest za to odpowiedzialny – Ukraina czy Rosja – i będą nalegać na mniejsze sankcje niż Polska i większość innych państwa UE; i oczywiście użyją stałego argumentu, że „najważniejsze jest utrzymanie możliwości dialogu z Moskwą”.

Niemcy i te państwa członkowskie UE, takie jak Austria, które popierały Nord Stream 2, narzuciły de facto ten projekt Europie. Berlin nigdy nie podchodził do tej inicjatywy z uwzględnieniem zasady solidarności: nigdy nie konsultował się z Komisją Europejską ani państwami, takimi jak Polska, Litwa, Łotwa, Estonia, które sprzeciwiały się projektowi. Jest to więc konkretny przykład berlińskiej metody faktycznego przywództwa w UE. Polega ona na kierowaniu z tylnego siedzenia – narzucaniu swojej woli bez jasnego wyrażania intencji i bez prowadzenia konsultacji. Miało to miejsce też w innych kwestiach, jak chociażby zainicjowanie Energiewende (transformacji energetycznej) czy zaskakująca polityka imigracyjna. W żadnym z tych przypadków Merkel nie koordynowała działań z sąsiadami lub Brukselą w duchu solidarności, czego wymagają traktaty UE.

Jeśli chodzi o same instytucje unijne, to potrzebowały one czasu, żeby wypracować stanowisko wyraźnego sprzeciwu wobec NS2. Stało się to za czasów Jeana-Claude'a Junckera na czele KE. Jednak realne narzędzia wpływu, które miał do dyspozycji były bardzo skromne. Już rozszerzenie obowiązywania trzeciego pakietu energetycznego na NS2 było wielkim sukcesem. Komisja Europejska będzie miała okazję do zabrania głosu i wywarcia realnego wpływu przy dokonywaniu przeglądu realizacji pakietu w odniesieniu do Nord Stream 2. Konkretnie decyzje będą co prawda wydawane przez niemieckich urzędników, ale UE ma prawo i kompetencje do ich weryfikacji pod względem zgodności z prawem UE. W tym kontekście Polska i inne kraje członkowskie mogą i, jestem pewien, że odegrają bardzo ważną rolę w domaganiu się tego od Komisji.